DZIENNIK WARSZAWSKI.

Sobota 12/24 Listopada 1855 roku. № 313. Jutro Ś. Katarzyny P. M. Wschód słoń. o god. 7 min. 39. — Zachód o g. 3 m. 55.

Z Petersburga, 2 (14) Listopada.

NAJJAŚNIEJSZY PAN, NAJWYŻEJ postanowić raczył: znieść obecnie (28 Października) stan wojenny w St. Petersburgu.

WYPRAWA SPRZYMIERZONYCH PRZECIW FANAGORJI I TAMAŃ.

(Dokończenie.)

„W nocy na 15 (27) i 16 (28) Września, kozacy piesi, korzystając zręcznie z miejscowości, atakowali po dwakroć oddziały nieprzyjacielskie, które poważały się wychodzić z Fanagorji, zabito nieprzyjacielowi w obu tych rosprawach jednego żołnierza, oraz raniono jednego oficera i kilku szeregowych, do niewoli zaś wzięto 2ch żołnierzy; obok tego w ręku naszém zostało 5 sztucerów i trochę innego oręża. W ogóle kozacy piesi niepokoili stale nieprzyjaciela i zniewalali go do stania pod bronią.

„15 (27) około czterechset ludzi piechoty wyszło z parostatku na brzeg. Nieprzyjaciel spalił miasto Tamań, w Fanagorji zaś nieprzestawał rozbierać kilka budynków.

„Powzięliśmy od jeńców wiadomość, że cały oddział nieprzyjacielski składał się do 15 (27) z Anglików i Francuzów, z których pierwsi w dwójnasób przewyższali liczbą ostatnich, ogólna zaś ich liczba wynosiła około 4.000. Oddział lądujący miał z sobą kilka dział podobnych do naszych górnych, a które ludzie przewozić mogą. Nieprzyjaciel miał około 50 kawalerzystów regularnych.

16 (28) i 17 (29), sprzymierzeni nie wychodzili z Fanagorji, a rozbierali budynki, do Tamania zaś wysyłali znaczne oddziały dla grabieży i podpalania ocalałych budowl. Nasi kozacy piesi powitali znowu, niespodzianie 18 (30) z rana, jeden z oddziałów wystrzałem, poczém poszli na bagnety. Nieprzyjaciel zemknął, pozostawiwszy jednego zabitego, w ręku naszém pozostali dwaj Anglicy (z 71go pułku Szkockiego) i zabraliśmy cokolwiek oręża.

„Podczas gdy się to działo, znaczne tłumy górali zgromadziły się na Gostagaju jednocześnie z pojawieniem się parostatków, a 19 Września (1 Października) o 4éj z rana, liczne tłumy tak konne jak i piesze pokazały się naprzeciw małéj baterji Dżigińskiéj. Spostrzegać się dawały pomiędzy temi tłumami dwie kolumny piechoty, dość szykownie się poruszające, lecz wojsk europejskich tam nie widziano. Nieprzyjaciel zasiadł w trzcinie naprzeciw punktu przeprawy i skierował silny ogień karabinowy na brzeg Kubania, na którym staliśmy. Górale postawili jednocześnie dwa działa na lewym urwistym brzegu Kubania i Dżigi, poczęli ostrzeliwać małą baterję Dżigińską i punkta na prawym brzegu Kubania przez kozaków pieszych zajęte.

„Nieprzyjaciel zamierzał widocznie przeprawić się mocą oręża na naszę stronę, i już kilka secin górali konnych było przepłynęło Dżigę i zajęło wyspę znajdującą się na téj odnodze rzeki Kubań. Ogień karabinowy trwał parę godzin. Nasi kozacy piesi, mając 3 działa, odparli nieprzyjaciela za każdym razem celnemi strzałami.

„Górale wyparci zostali z wyspy kartaczami, a kilka celnych strzałów kulami armatniemi i granatami, skierowanych na tłumy zapełniające odsłoniętą od strony szyi małą baterję znajdującą się na lewym brzegu Dżigi, zmusiło nieprzyjaciela do opuszczenia brzegu. Wkrótce potém spostrzeżono, że nieprzyjaciel zaniechał zupełnie swój zamiar i udał się ku Gostogaj.

Po obejrzeniu punktów, na których stali górale, znaleziono wiele śladów krwi, szczególniéj na wyspie. Straty żadnéj nie ponieśliśmy, Dowiedzieliśmy się potém, że tłumem dowodził Sefer-bey Zanoko, pasza Anapski, który miał pod sobą około 4,000 piechoty i jazdy, oraz dwa działa polowe, wiezione każde przez 6 koni.

„Tegoż dnia o 4éj z południa, pojawiły się naprzeciw posterunku Warenikowskiego niewielkie oddziały górali; jeźdcy zbliżali się do tego posterunku, i przypatrywali się przez lunety fortyfikacjom, poczém odeszli ku rzece Psebebs, gdzie dojrzano wieczorem porozkładane ognie i słyszano o zachodzie słońca wystrzał działowy.

20 Września (2 Października) około 3ch tysięcy górali pieszych i konnych rozlokowało się przed posterunkiem, po za sięganiem strzału armatniego. W ciągu całego dnia powyższego górale tak piesi jak konni zbliżali się do posterunku po jednemu lub małemi oddziałami i dawali strzały, na które odpowiadaliśmy.

„21 Września (3 Października) o świcie, tłumy górali konnych z proporcami, przyczwałowały do posterunku, lecz powitane zostały wystrzałami; po krótkotrwałem strzelaniu, nieprzyjaciel cofnął się i zniknął z oczu, pozostawiwszy na miejscu dwóch zabitych i 3 konie. Straty nie ponieśliśmy.

„Oddziałem tym dowodził Karabatyr-Zanoko, syn paszy Anapskiego.

„Noc na 21 września (3 października) była pochmurna i księżyc późno zaświecił. Korzystając z tego, dowódca oddziału ruchomego, Pułkownik Krzyżanowski przedsięwziął nowe poruszenie, w celu niepokojenia nieprzyjaciela w Fanagorji i zrządzenia mu wedle możności szkody. Wszystko to wykonanem zostało zręcznie i ze znajomością rzeczy, cechującą tutejszych kozaków pieszych. Spostrzeżono w Fanagorji zamięszanie i trwogę: od 2-éj po północy do świtu, nieprzyjaciel dawał ognia z karabinów i dział wszystkich parostatków, a o świcie podpaliwszy wszystkie budynki i nie zabranę jeszcze materjały, wsiadł spiesznie na statki i pod zasłoną swéj artylerji morskiéj odpłynął do Kerczu.

„W ciągu ośmiodniowego pobytu na ziemi wojska Czarnomorskiego, sprzymierzeni zdołali tylko spalić Taman i Fanagorję, co uskutecznić mógł jeden z ich parostatków nie wysyłając na brzeg ani jednego majtka. Strata nieprzyjaciela wynosi: 4 do niewoli wziętych i 50 do 60 zabitych i ranionych.

„Przez cały ten czas nie ponieśliśmy żadnéj straty."

(Inwalid Ruski.)

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Magistrat miasta Warszawy.—Podług paragrafu 18go ustawy stęplowéj,* wszelkie kalendarze krajowe jakiegobądź wyznania, oraz rubrycele drukowane, przed puszczeniem onych w rosprzedaż, opatrzone być winny stęplem ceny kop. 7 i pół. Artykuł 505 kodexu kar głównych i poprawczych stanowi: za sprzedanie lub używanie kalendarzy bez stępla, winny ulegnie karze pieniężnéj po rs. 2 za każdy exemplarz takiego kalendarza; reskrypt zaś komisji rządowéj przychodów i skarbu z dnia 9 Lutego 1826 r. objaśnia, że kalendarzy krajowych bez poprzedniego ostęplowania za granicę nawet wypuszczać nie wolno. — Magistrat z upoważnienia komisji rządowéj przychodów i skarbu, na dniu 17 (29) Listopada 1854 r. wydanego, niniejszém ostrzega publiczność, aby nikt kalendarzy i rubrycel nieostęplowanych sprzedawać, kupować i używać nie ważył się, pod karą art. 505 kodexu karnego wyżéj przytoczonym. zagrożoną. — Warszawa dnia 3 (15) Listopada 1855 r. — Prezydent, rzeczywisty radca stanu, Andrault.—Naczelnik kancelarji, Luceński.

— Rada opiekuńcza domu przytułku sierot i ubogich starozakonnych, zawiadamia, iż wydawanie fantów w loterji na rzecz zakładu pod jéj opieką zostającego wygranych, od d. 14 (26) dopełniać się będzie codziennie od godziny 3éj do 4éj po południu, wyłączając święta, w miejscu dotychczasowem, to jest w domu pod Numerem 796 przy ulicy Elektoralnéj.

— Wyszedł z druku Nr 42 Tygodnika Lekarskiego i zawiera: Natanson. Herpes digitorum.— Rosenzweig. Leczenie przymiotu i jego znaczenie dla osoby i społeczeństwa.— Posiedzenie towarzystwa lekarskiege z dnia 8 Września 1855 (Dokończenie.)—Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie.— Odcinek. Jurkiewicz. Wykład hygjeny. (Lekcja dwudziesta trzecia.— Dalszy ciąg.

— Księgarnia H. Natansona przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 442 na 1ém piętrze, otrzymała następujące nowości polskie: „Zgon Acerna," chwila z XVII wieku, przez Władysława Syrokomlę. 12ka, Wilno, 1856, cena kop 60.

DZIECIĘ PRÓŻNOŚCI.

OPOWIADANIE

przez

Autora Kłopotów Starego Komendanta.

(Ciąg dalszy).

Naturalnie, zwykłą koleją podobnych rozmów, przyszło i na dawniejsze osobiste wspomnienia, z tych wywiązały się niejakie projekta na przyszłość, a nawet tak jakoś zgrabnie zadecydowano dać w przyszłą niedzielę, mały wprawdzie, ale tańcujący wieczorek.

Płodny w tego rodzaju projekta Emilek, obstawał za fajerwerkami, dowodząc że musi to być niekosztowne, i w modzie, bo często słyszał od Seweryna, że w Warszawie, nawet mniéj zamożne domy ich nie zapominają.

— Będziesz ty miał fajerwerki nie długo! — przerwał dotąd milczący i ponury Konrad.

— A cóż tam znowu nowego? — odezwała się niechętnie matka.

— A bo to mama nie wie co nowego? Chwała Bogu od dwóch lat same nowości nas spotykają.— Ja tu kręcę się jak wąż grzechotnik, proszę, skamlę, żeby na podatki wydostać pieniędzy, a temu się ot fajerwerków zachciewa. Dał ja bym ci fajerwerek, ażby w niebie było słychać!

— Konradzie, takiś niedelikatny — odezwała się matka.

— Djabłaż tu być galantem jak nie ma. Pieniądze sypią się jak z dziurawego worka, co uzbieram, to matka wyda i jeszcze na co? — Ot na głupstwa, na stroje, na fraki dla tego smarkacza.

— Alboż to wielkie sumy...

— Jak nie ma na to, to i grosz za wiele.

— Dajno téż pokój Konradku, tak już nas stawiasz w najgorszem świetle, że nawet pan Żarski gotów sobie Bóg wie co pomyślić.

— Dobrze, dobrze, będę kadził, ale ciągle ostrzegałem i ostrzegam mamę, że to się źle skończy. Od miesiąca woźni, sekwestratorowie, djabły, żydzi, nie wychodzą.

— No, no! — pomrukiwała matka ruszając głową i śmiejąc się dziwnie, — Proszę cię daj pokój tym kompromitacjom! morały schowaj!

Konrad téż zamilkł poprawiając okulary, a Żarski czując się zbytecznym, wyszedł na podworzec.

Ponieważ Emilek znużony tańcem, na prośby matki lekcję miał darowaną, więc Józef nie wiele myśląc, sunął się tak bez celu po drodze wiodącéj ku Stopnicy. Zbliżywszy się pod karczmę na końcu wioski stojącą, zdziwił się niepomału, dostrzegłszy kilkanaście furmanek, mniejszych i większych, żydoskich i pańskich zatrzymujących się przed domem. Gromadki krzyczących żydów formowały się po różnych punktach, wokoło znać było pewien ruch, gwar, narady i kłótnie; niektórzy w atłasowych hałatach tak niby szajne morajne posuwali się już ku dworowi, a stawając zewnątrz sztachet okalających dziedziniec, zaglądali trwożliwie przez szpary, obawiając się spotkania i natarczywości kilku brytanów spoczywających przy bramie.

A tymczasem nowi przybywali przed karczmę, innych widać było śpieszących i konno i pieszo, a wszyscy z miną tak jakoś złośliwie radośną czy dziwnie zafrasowaną, że Józef zadrżał spoglądając na te żarłoczne stada kruków ciągnące na zdobycz świeżego jeszcze trupa.

Niepokojony tedy, powraca do dworu uwiadomić o tem jego mieszkańców, ale nim zdążył przestąpić próg salonu, rozległ się turkot na podwórcu, psy zaszczekały chórem, i w chwilę, zatoczyła się przed ganek piękna najtęczanka.

Trzech mężczyzn weszło zaraz do pokoju: jeden stary, pokrzywiony latami, z ogromnym czerwonym nosem, twarzą wątrobianą i peruką dobrze ceglastego koloru, stąpał powoli jakby chciał nieco po-

...polla Nałęcza Korzeniowskiego, komedja-dramat w trzech aktach i strofy oderwane, 12ka, Wilno, 1856, rs. 1 k. 35. „Przylaszczka,“ przez Karola Dołęgów, 12ka, Wilno, 1855, kop. 30.

— Do księgarni S. Orgelbranda przy ulicy Miodowéj Nr 496, nadeszły następujące nowości: Jabłoński Hen. „Gwido i dumki,“ kop. 47 i pół. Skorowidz wszystkich miejscowości położonych w Królestwie Galicji i Lodomerji wraz z Krakowem i Bukowiną, pod względem politycznéj i sądowéj organizecji, z oznaczeniem parafji, poczt i właścicieli tabularnych z mappą, rs. 2 kop. 40. Wodziński Ernest ks. „Kazania świętalne,“ 2 tomy, rs. 1 kop. 80.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

A N G L J A.

Londyn 17 Listopada. Jej Król. Mość w towarzystwie księcia Alberta, udała się wczoraj z Windsor do obozu manewrów pod Adershott.

— Wysłana do Berlina i innych wielkich miast stałego lądu komisja oficerów artylerji i inżynjerji pod naczelnictwem pułkownika Wilmeth, powróciła już i przywiozła przekonanie, że angielski materjał artylerji, daleko niżej stoi niż wszystkie jakie widzieli na stałym lądzie.

— Londyn wczoraj nawiedzony został tak gęstą mgłą, że paropływy na Tamizie musiały zaniechać żeglugi, a dwa z nich uderzyły się o siebie przy Wimbleden, na szczęście bez szkodliwych następstw. W dokach pięciu ludzi utonęło, przeto że nie widząc drogi przed sobą wpadli w wodę. Niezliczone kradzieże popełniane były bezkarnie na ulicach.

Według tegoż dziennika słychać o małżeństwie jednego z książąt rodziny Cesarskiej z księżniczką Marją Cambridge, i podróż margrabiego Lansdowne do Paryża ma być nie obcą temu projektowi.

(*Independance Belge*).

F R A N C J A.

Paryż 18 Listopada. Zdaje się że u nas nie dość przywięzywano ważności do ostatniego krwawego zajścia w Konstantynopolu i że ten bunt tunetańczyków ważniejszy jest niż go opisywały korespondencje dzienników paryzkich. Zdaje się że ci buntownicy mieli cały plan ułożony przeciw francuzom, czego dowodzą rozmaite zasadzki liczniejsze niż się z początku zdawało.

Wczoraj był wielki uroczysty obiad w pałacu miejskim. P. Hausman wzniósł toast Cesarza, p. Delangle zdrowie księcia Napoleona, a książę na podziękowanie wzniósł toast miasta Paryża. Po obiedzie był piękny koncert.

— Wczorajszy koncert w pałacu wystawy został odwołany.

— Bankier który pozwał Towarzystwo kredytu ruchomości przed sąd policji odstąpił od sprawy, ale towarzystwo to postanowiło mu wytoczyć proces rekonwencjonalny, z żądaniem ogromnych wynagrodzeń za szkody jakie mu zapozew wyrządził.

Znowu słychaćo pożyczkach; mówią o nich w Londynie, przygotowują się do tego w Piemoncie. Nie należy jednak sądzić żeby się na nie prędko zaniosło. W Anglji przynajmniéj nie może o tem być mowy jak za kilka miesięcy, ponieważ parlament zgromadzi się dopiero w lutym. Temu przynajmniéj przypisywano uważane od kilku dni chwianie się na targu angielskim, co oddziałało i na giełdę paryzką. Bank francuzki korzystając z tego wstrzymał się jeszcze z używającym środkiem na jaki już był przygotowany.

Dopisek o godzinie 7. W téj chwili okropny pożar wybuchł na zachodnim krańcu Paryża. Zapewniają że pali się zakład wojskowy w Chaillot.

(*Independance Belge*).

Paryż 20 Listopada. Moniteur ogłasza depeszę marszałka Pellisiera z dnia 16 b. m. zawierającą co następuje:

Nasz park artylerji pod nazwą *du Moulin* położony niedaleko Inkermanu, został zniszczony wczoraj częściowo przez wybuch trzech magazynów zawierających 30,000 kilogramów prochu, 600,000 ładunków 300 granatów nabitych i inne przedmioty.

Te materjały palne spowodowały gwałtowny pożar w parku angielskim sąsiadującym z nami i także było tam kilka wybuchów.

W ciągu sześciu godzin francuzi i anglicy opanowali ogień. Mamy 30 żołnierzy zabitych i dwóch oficerów, tudzież około stu rannych a między niemi 10 oficerów. Straty naszych sprzymierzeńców są prawie takież same. Przyczyna pożaru trudną jest do wyśledzenia. (*Ind. Belge*).

H I S Z P A N J A.

Madryt 13 Listopada. Dość żywe rozprawy nad 6 artykułem ustawy zakończyły wczorajsze posiedzenie. Artykuł ten mówi: »Opiekunem niepełnoletniego monarchy ma być osoba którą zmarły król wyznaczy, z warunkiem żeby to był rodowity hiszpan. Jeśliby nikt nie został wymieniony, ojciec lub matka dopóki pozostaną w stanie wdowim, wykonywać będą opiekę. Gdyby ich nie było, kortezy zanominują opiekunów. W każdym razie tytuł regenta i opiekuna jedynie w rękach ojca lub matki małoletniego króla mogą być połączone.«

Panowie Sanchez Silva i Ordax Avecilla atakowali ten artykuł, chcieli oni aby opiekun bezwarunkowo mianowany był przez narodowe kortezy. PP. Laserna i Rios Riozas bronili raportu komisji. Ten ostatni powiedział bardzo słusznie, że król nie powinien być wyłączonym z ogólnego prawa, wyjąwszy wypadków w których wyraźny interes państwa tego wymaga. Kwestja polityczna powinna być zawsze ile możności uproszczoną i wyjąwszy w szczególnych wypadkach nie ma powodu znosić zwyczaje które uświęcone zostały przez wieki. Głosowanie odłożono do dzisiejszego posiedzenia.

Artykuł 6 ułożyła komisja w następujący sposób: »Wszyscy hiszpanie przypuszczeni być mają do urzędów i posad publicznych stosownie do swoich zasług i zdolności, tytuły szlachectwa nie będą wymagalne do żadnych urzędów i stopni publicznych.« P. Rios Rozas członek komisji popierać będzie pierwotną redakcję.

Dzisiejsze posiedzenie nie przedstawiało interesu.

Niewarto powtarzać te wszystkie komentarze jakie wczoraj czyniono względem wypadków w Saragossie W ogóle uważano je za bardzo ważne, sądzono że to jest początek walki między Esparterem a O'Donelem. Naturalnie zwykła przesada południowych umysłów grała wielką rolę w tych komentarzach. Słowa księcia Vittorji w szczególności były jednak tyle wyraźne, że powinny były usunąć wszelką myśl, że jego przyjaciele mogliby dopuścić się podobnego występnego przedsięwzięcia przeciw tronowi.

Po niezbyt wyraźnych objaśnieniach ministra względem wypadków w Saragossie i małoważnych rozprawach nad prawem o rekrutowaniu do armji, Zgromadzenie imiennem głosowaniem zatwierdziło artykuł 63 ustawy. Art. 65 wymagający podpisu jednego z ministrów na każdem postanowieniu królewskiém, dał powód p. Orense do bardzo długiéj mowy. Mówił on o ogóle ustawy, atakował zasady i artykuły, jednem słowem mówił o wszystkiem wyjąwszy o artykule który chciał atakować. Ograniczył on się na powiedzeniu w tym przedmiocie, że odpowiedzialność ministrów jest tylko hipokryzją, przytoczył w tym przedmiocie przykład Ferdynanda VII i wielu innych dawnych króli. P. Olozaga odpowiedział mu i artykuł został zatwierdzony.

O godzinie piątéj zgromadzenie naradzało się w biurach.

— Stosunki między p. Olozaga i jenerałem Zabala są bardzo oziębłe, mówiono dziś nawet że pan minister spraw zagranicznych zdecydowany jest przyjąć dymisję ambasadora swego w Paryżu, a jeśliby to nie było przyjęte z łatwością w radzie ministrów, w takim razie sam się usunie od swego wydziału. Rzeczy jednak tak dalece jeszcze nie zaszły i sprawa ta zgodnie zostanie załatwioną. Wiemy że p. Olozaga miewa częste i długie rozmowy z księciem Vittorji, w kongre nawet ci dwaj znakomici mężowie dają sobie widoczne oznaki przyjaźni. Wnoszą z tego że p. Olozaga może wkrótce wejdzie do składu gabinetu. Te przypuszczenia mogą prędzéj lub późniéj stać się prawdziwemi, ale dotąd nie mają jeszcze rzeczywistéj zasady.

Wczoraj wieczorem o godzinie 6, dziecię Infantki Izabelli de Bourbon urodzone w dniu 6 b, m. otrzymało chrzest święty w kościele Notre Dame de Attocha. Ojcem chrzestnym był b. król rejent portugalski reprezentowany przez księcia Arsimaga ambasadora portugalskiego w Madrycie, matką chrzestną infantka portugalska Anna de Braganza i de Bourbon, reprezentowana przez starszą córkę infantki Izabelli. Całe poselstwo portugalskie i wiele znakomitych osób znajdowało się na téj ceremonji.

Zapomnieliśmy wczoraj wspomnieć o interesującym wypadku w kortezach. P. Ramirez Arcos który od niejakiego czasu stanął na jednéj linji z pp. Sanchez Silva i Pablo Abecilla, prowadząc nędzną, namiętną niesprawiedliwą a surową opozycję przeciw p. Bruil, zaproponował mianowanie komisji któréj czuwała nad użytkowaniem funduszów wpływających codziennie do skarbu z sprzedaży dóbr narodowych i duchownych. P. Bruil dał do zrozumienia iż gotów jest na każde zawezwanie przedstawić kortezom wszelkie potrzebne im dokumenta, ale że taka propozycja ma na celu poniżyć go i obraża godność ministerjalną. Oświadczył zatem że poda się do dymisji jeśliby wniosek ten został wzięty pod rozprawy. Zgromadzenie też odrzuciło tę mocję i nikt jéj nie popart prócz pp. Sanchez Silva i Pablo Avecilla.

---

prostować skurczone nogi. Ubrany w surdut mundurowy, zapinał uporczywie haftki stojącego kołnierza, poprawiał szpadę, i machając stosowanym kapeluszem, mruczał sobie:

— Będzie tu będzie mosendzieju, delibacje, krzyki..

— A czy zastajemy panią Gąsiewską? — zapytał drugi z przybyłych niski także, lecz pulchny brunet.

— Jest u siebie lecz nieubrana, panowie pozwolą chwilkę zaczekać, ja ją uwiadomię.

— Ot to to! wybornie mosendzieju! — zawołał pierwszy zacierając ręce. — Tak naprzykład niespodziewała się tego.

— I cóż tak pana komornika cieszy? — zapytał niecierpliwie drugi.

— Ba! naprzykład mosendzieju to tryumf dla komornika; wszystko będzie w porządku... Ale niech pan plenipotent dobrodziéj wyjeżdża sobie zaraz naprzykład; — przy licytacji czułych serc nie potrzeba mosendzieju, a i kodex francuzki tego naprzykład wierzycielowi...

— Ależ ja wiem, dziękuję za przestrogę — wyrzekł marszcząc się plenipotent. — A obracając się do Żarskiego dodał: — jeżeli tam jest syn pani Gąsiewskiéj, to lepiéj by było jego poprosić. Bądź pan tak dobry.

Jak strzała pobiegł nasz Józef przerażony taką wiadomością, i wszedłszy do pokoju, skinął nieznacznie na Konrada, że go tam potrzebują.

— A co to takiego? — zapytała widząc jego pomięszanie dziedziczka.

— Eh panowie jacyś przyjechali, i chcą się widzić z panem Konradem.

— Tylko?

— Owszem pytali się o panią, alem ich uwiadomił że jeszcze nieubrana.

— Ślicznieś pan zrobił, dziękuję bardzo; dopierobym się też zawstydziła. Wiesz Geńciu, to pewno Karoscy z pierwszą wizytą. — Moja droga zawołaj też Wiktusi, a prędko trzeba się ubierać; Emilek do pokoju, a uczesz że się porządnie, mój panie dopilnuj go też z łaski swojéj. Ah jakżeśmy się też zasiedziały! — patrzcież to 11 godzina.

— Mamo, mamo! proszę! — zawołał czerwony jak pons pan Konrad uchylając drzwi i poprawiając okularów.

— No poczekajże i przeproś tych panów, widzisz żem nieubrana; zaraz idę.

— A niechże się mama spieszy, bo pilno bardzo.

— Mój panie Żarski — pytała kręcąc się po pokoju dziedziczka — nie uważałeś pan jak ci goście wyglądają?

— Jeden wysoki, szczupły z faworytami dużemi, w mun...

— Blondyn?

— Zdaje mi się że blondyn.

— A drugi młodszy, brunet, niskiego wzrostu.

— Tak, tak.

— Ah to oni. — Wiktusiu prędzéj suknię tę szafirową! — Proszę pana idź też, zabawić ich przez chwilkę, bo ten Konrad tak ciężki, ja zaraz służę. Ale nie tę, nie tę — ah co to za niezgrabna stworzenie, mówię ci w pasy jedwabną...

Józef wszedł do salonu, niepodzielając wszakże tej niespokojnéj radości dziedziczki. Plenipotent, komornik, zgraja żydów, licytacja, i wreszcie to pomięszanie Konrada, zupełnie czego innego kazały się domyślać.

W kwadrans może, co jest nadzwyczajnością przy robieniu toalety damskiéj, weszła sama pani w jedwabnéj szeleszczącéj sukni, z uśmiechem na ustach i gotową grzecznostką do powitania dostojnych gości, lecz zobaczywszy osobę całkiem nieznaną i w stroju podróżnym, cofnęła się nieco pomieszana, dygnąwszy ceremonjalnie.

— Otóż i matka! — przemówił Konrad — przedstawiam mamie pana Suskiego plenipotenta naszego dziedzica.

— Oto dosłowny text oświadczenia księcia Vittorji w przedmiocie rozruchów w Saragossie:

»Panowie, powiem wam w tym przedmiocie a raczéj powtórzę to com wielokrotnie mówił już w kortezach. Rząd ubolewa i ja ubolewam jako członek rządu, deputowany i hiszpan. nad wszelkiém zakłóceniem porządku publicznego. Ubolewam że nie postępujemy spokojnie drogą postępu który ma zapewnić pokój i szczęście Hiszpanji, ale obok tych ubolewań winienem tu oświadczyć otwarcie, że rząd który nie ma innego interesu jak utwierdzić w sposób stanowczy i niezwalczony swobodę i szczęście kraju, postanowił niezmiennie karać silną dłonią każdego kto zakłóci porządek publiczny, kto nie będzie szanował praw i postanowień kortezów ustawodawczych.

To jest silne postanowienie rządu i jakkolwiek liczni byliby jego nieprzyjaciele, jakkolwiek silnemi byliby ci którzy atakują jego zasadę, powtarzam że rząd postanowił ukarać ich wszystkich. Jakakolwiek byłaby ich chorągiew, wyrok prawa będzie nieubłaganym dla wszystkich którzy sprzeciwią się prawom.«

— Minister wojny przedstawił kortezom porównawczy stan budżetów jego wydziału od r. 1846. W téj epoce etat armji hiszpańskiéj wynosił 136,680 ludzi i 10,074 koni, a budżet wydatków przenosił 399 miljonów. Dziś etat armji obejmuje już tylko 79,535 ludzi i 10,169 koni, wydatki ministerstwa wojny zmniejszone zostały do 271,658,000 realów.

(*Independance Belge*).

WIADOMOSCI Z WSCHODU.

— *Presse d'Orient* ogłasza następujące szczegóły względem ataku baszy-buzuków na szpital francuski w uniwersytecie w Konstantynopolu:

»W niedzielę nader smutny wypadek zakrwawił ulice Konstantynopola. Wiadomo, że obszerne budynki uniwersytetu w bliskości Śtej Zofji zostały użyte na szpital francuski. Szpital ten pilnowany jest tylko przez posterunek 24 ludzi i 3 żandarmów. Jest to raczej środek utrzymania porządku niż obrony; bo mieszkańcy tureccy tego cyrkułu żyli zawsze w przyjaznych stosunkach z nowemi sąsiadami. Często żołnierze francuscy i Turcy okoliczni spotykali się w kawiarniach i zawsze rozmawiali o Sebastopolu i Krymie. W bliskości na placu Ain Medem znajdują się koszary w których pomieszczono Tunetańczyków. Oni to dali zaczepkę i oto szczegóły tego wypadku.

W niedzielę o godzinie 5 po południu, kapral saperów pompierów wychodził ze szpitala uniwersytetu. O dwadzieścia kroków stamtąd trzej czy czterej Tunetańczycy zbliżyli się do niego odzywając się z grubjaństwami, nakoniec jeden z nich schwycił go za brodę, drugi starał się powalić go na ziemię, trzeci zaczął go okładać pięściami, a czwarty dobył pałasza aby go uderzyć. Kapral był bez broni, rzucił się zatem na zbrojnego Tunetańczyka i wyrwał mu pałasz pomimo pomocy trzech innych. Krzyk kaprala usłyszany został na posterunku, jeden oficer administracji z kilku żołnierzami przybył na miejsce, Tunetańczycy zemknęli, wyjąwszy tego który dobył pałasza i został rozbrojony. Schwytano go i aresztowano.

Sądzono w szpitalu, iż to był pojedynczy wypadek. Ale w kilka chwil potem liczna gromada Tunetańczyków około 120 ludzi, zbrojna pałaszami i pistoletami, kijmi i kamieniami, rzuciła się ku szpitalowi z krzykiem: »Śmierć Francuzom!!!« domagając się wydania aresztowanego kolegi. Rozpoczęli atak gradem kamieni rzuconych do okien przez wierzch małego muru dziedzińca i do szpitala przez wielkie drzwi które zostawiono otworem. Trzeba było działać energicznie aby położyć koniec tym nieprzyjaznym krokom. Silna wycieczka wykonaną została przez kilku oficerów administracji, dwóch żandarmów i żołnierzy posterunku, którzy zdołali pochwycić broń. Tunetańczycy atakowani bagnetem i pałaszami, zostali odparci, odpędzeni i pozwolono im zabrać swoich ranionych.

Wszystko wróciło do porządku, można było sądzić, że ta smutna walka skończyła się. Ale rozjuszeni Tunetańczycy udali się do swoich koszar aby się uzbroić. Koszary te strzeżone są przez posterunek turecki. Oficer od straży zabronił żołnierzom wychodzić z karabinami, gdy go nie słuchano, kazał zamknąć drzwi od ulicy. Atakowany przez Tunetańczyków musiał stawić siłę przeciw sile, ale żołnierze jego musieli ustąpić liczbie i wtedy Tunetańczycy wybili drzwi i pobiegli ku szpitalowi. Przybywszy tam zaczęli z za domów sąsiednich strzelać do okien szpitala, skąd służba szpitalna i żandarmi odpowiadali tak dzielnie i szczęśliwie, iż dzicz musiała ustąpić straciwszy wielu swoich.

Jednocześnie na sąsiednich ulicach pojedynczo idący żołnierze francuscy, byli napadani, ranieni, lub zabijani przez Tunetańczyków. O 300 metrów od szpitala dwaj urzędnicy zdrowia zostali zamordowani kilkunastu strzałami i odarci ze wszystkiego. Przed koszarami Tunetańczyków pan Blaise, podkapitan portu, jeden porucznik okrętowy i dwaj oficerowie z administracji, o mało nie ulegli temu samemu losowi i zaledwie zdołali umknąć. Porucznik okrętowy pomimo własnej dzielności i pomocy którą mu starał się przynieść oficer posterunku tureckiego, poraniony okropnie zaledwie z życiem dostał się do szpitala. Dwaj oficerowie administracji zostali ocaleni przez pewnego Turka, który im otworzył drzwi swego domu i zatrzymał przez całą noc a nazajutrz odprowadził do szpitala.

W innem miejscu pomocnik apteki został zraniony przez Tunetańczyków. W ogóle było dwóch żołnierzy zamordowanych, dwóch oficerów zranionych, z których jeden bardzo ciężko i czterech żołnierzy ranionych w wycieczce.

Wypadek ten przeraził cały cyrkuł, posłano sztafety do jenerała Larchey i szpitala Galaczu. Jenerałowie Larchey, Parisot i ich oficerowie, tudzież komendant żandarmów pan Bouttier, wyruszyli natychmiast z oddziałem żołnierzy z Pera i Galata, ale gdy pzzybyli na miejsce porządek już był przywrócony. Z Galata oddział 100 żołnierzy dwiema drogami zbliżył się do szpitala. Dopełniono środków ostrożności przez zaprowadzenie kordonu placówek i liczne patrole które przebiegały cyrkuł przez całą noc.

Nazajutrz 300 ludzi z 84go pułku linjowego przybyli z Maslak i rozstawili się w bliskości szpitalu.

Władze tureckie zaraz w niedzielę wieczór przedzięwzięły potrzebne środki dla zapobieżenia wznowieniu się tych okropności i ukarania winnych.

Jeszcze jeden żołnierz który wieczorem w niedzielę przechodził za pałacem Porty, został zabity strzałem z pistoletu przez dwóch Tunetańczyków.

W nocy po tym krwawym wieczorze, minister wojny Mehmed-Ruszdi-pasza, zajął z wojskiem koszary Tunetańczyków, kazał ich rozbroić i pod dobrą strażą odprowadzić do seraskieratu, skąd im ani ruszyć się nie wolno. Jest ich około 225. Mianowaną została komisja turecko-francuska do wyprowadzenia śledztwa tej sprawy.

(*Indepen. Belge*).

W Ł O C H Y.

Turyn 14 Listopada. Izba deputowanych zgromadziła się wczoraj pod przewodnictwem swego dziekana pana Bertini, ale nie można było rozpoczynać narad, nie było bowiem dostatecznej liczby deputowanych. Dziś zebrała się dostateczna liczba i rozpoczęto roboty. Najprzód sprawdzono wybory czterech nowych deputowanych. Jedynie wybór pana Buffa obudził niejaką opozycję, ale mimo to został zatwierdzony. Następnie Izba jak już telegraf doniósł, wybrała na prezesa pana Buoncompagni.

Jutro Izba wybierać będzie dwóch wice-prezesów, czterech sekretarzy i dwóch kwestorów. Zredaguje następnie adres w odpowiedzi na mowę tronową i zapewnie adres ten zostanie przedstawiony Jego Kr. Mości przed wyjazdem do Paryża.

— Piszą z Neapolu, że wielkie uroczystości publiczne miały tam miejsce z powodu obecności arcyksięcia Alberta austrjackiego. Król otworzyć kazał swoje ogrody *la Favorita*, gdzie urządzono rozmaite zabawy dla ludu, jak w Paryżu na polach elizejskich.

— Książe Carini, minister neapolitański przy dworze angielskim, pozostaje ciągle na urlopie w Neapolu.

(*Indep. Belge*).

PYŁKI HISTORYCZNO-LITERACKIE.

XIII.

ESTETYKA MAGIERA.

(D o k o ń c z e n i e).

Zrobimy wkońcu uwagę o dziwnym losie Warszawy, o dziwnych jéj przeznaczeniach, co do przywiązania się do niéj niektórych ludzi. Miasto nasze ma coś w sobie bardzo nęcącego, pociągającego, miłego, kiedy co chwila w jéj dziejach ostatnich potrącać się nam przychodzi o ludzi, którzy jéj miłość swoją, najwierniejszą miłość dozgonną poślubili. Są, byli starcy w naszem mieście, którzy więcéj jak archeologowie z urzędu robią dla ukochanéj sobie Warszawy — i nie dziw, ci starcy zwykle najpiękniejsze, najdroższe lata w Warszawie przepędzili, widzieli jak przez nią tyle się przemknęło lat, ludzi i wypadków, więc naturalnie więcéj obeznani z miejscowością, przywiązują się do niéj z szaloną, idealną prawie, platoniczną że tak się wyrazim miłością. I nic dziwnego, wszakże długie z kimś przestawanie, wyradza nowe stosunki dwojga osób; wszakże w pożyciu małżeńskiem wyradza się długiemi laty jakiś wzajemny rodzaj szacunku pomiędzy mężem i żoną, rodzaj szacunku, który zastępuje wszystkie najzapaleńsze, platoniczne miłości. Każde miasto dawnéj Polski miało lub ma do dziś dnia żyjących swoich archeologow, ale są to zwykle

---

— Naszego dziedzica — powtórzył sobie Józef nie pojmując téj komedji. — Dziedziczka, bogata, pani, a tu plenipotent ich dziedzica, co to się znaczy?

— Ah, ja myślałam — odezwała się pani Gąsiewska siadając na kanapie — że to panowie Karoscy z Trzelcowa; niechże pan siada, bardzo proszę, jakże się tam mecenas miewa?

— Zdrów, bardzo dziękuję za pamięć, właśnie co od niego jadę.

— Ah to nam pan przywozisz jakie nowiny. Cóż tam słychać w Warszawie? towarzystwa z wód już się pewno pozjeżdżały, ruch musi być wielki, świeże mody, zabawy... mów pan przez litość, bo my parafianie, to siedzimy na wsi jak na wygnaniu jakiem.

— Co do nowości o których pani wspomina, to zupełnie są mi obce; parę dni bawiłem tylko w Warszawie, i to zajęty interesami swojemi i pryncypała, że nawet nie miałem czasu pójść do teatru, chyba to — ciągnął dalej spoglądając na Konrada jakby z prośbą o pomoc — że panna Karolina za mąż idzie.

— Doprawdy? — bardzo mię to cieszy, śliczna panna, dobra, majętna, i za kogo téż?

— Za jakiegoś obywatela z tutejszéj okolicy.

— Nie może być! — zawołała z całą ciekawością — i nie pamięta pan nazwiska?

— Prawdziwie że zapomniałem — mówił z coraz większą bojaźnią plenipotent — tylko to wiem, że pan mecenas przeznacza mu w posagu dobra Sliwice.

— Ah więc będziemy mieli nowego dziedzica! i gdyby tylko był tak dobrym jak dzisiejszy, bardzoby mię to cieszyło.

— Ależ podobno on sam chce objąć zarząd gospodarstwa, bo to jest człowiek młody, obywatel...

— To chyba jak się skończy dzierżawa!

— Otóż właśnie że mecenas chciałby wcześniéj.

— Jakto?! — krzyknęła z zadziwieniem Gąsiewska — wszakże ja mam kontrakt na sześć lat, a dopiero drugi idzie...

— Prawda pani dobrodziéjko, ja wiem o tem i dla tego właśnie przyjechałem porozumieć się z panią.

— Ależ ja ani jednego dnia, ani godziny nie odstąpię; proszę pana czy to się godzi, dla osobistych jakichsiś tam zachceń, rugować mię z tych dóbr, w których lat 20 przeszło mieszkałam. Nie, nie, proszę pana, nie mówmy nawet o tem.

— Owszem mówmy! — wyrzekł podnosząc się Suski jakby przyzywał cywilnéj odwagi, bo przyznam się pani dobrodziejce ja nie rozumiem jéj tonu mowy, i daruj nie wierzę w tę udaną niewiadomość.

— Co za niewiadomość? — spytała żywo rumieniąc się kobieta — pan mi ubliżasz?

— Ścielę się do stópek jaśnie wielmożnéj pani mojéj i dobrodziejki! — zawołał kłaniając się nizciutko pan komornik, wchodząc w téj chwili do salonu.

— I pan tu!— krzyknęła przestraszona kobieta.

— Tak, naprzykład, i ja — mówił rozkosznie zacierając ręce. — Jakże łaskawe i kosztowne zdrowieczko mosendzieju?

— Ależ panie, to chyba są żarty lub najgrawanie się ze mnie! — przemówiła obracając się do plenipotenta. — Nie uwiadomiwszy mię nawet, najeżdżać tak bezkarnie słabą kobietę.

— Owszem pani, jest wyrok, doręczony; zajęcie prawnie uskutecznione.

— Tak, tak — dodał komornik, wydobywając z kieszeni papiery. — Ot tu naprzykład, czarno na białem stoi, pan Konrad dobrodziéj podpisał mosendziu. — Hej panie Skrzypalski, okulary moje!— wołał do drugiego pokoju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ludzie uczeni, którzy kompilują swoje opisy, historje i kroniki z ksiąg drukowanych i pisanych, z archiwów, z bibljotek, z poważniejszych źródeł. Warszawa tylko jedna miała starców takich jak Dmuszewski, jak Magier, którzy z podania, z pamięci, z wrażeń doznawanych, o niéj książki albo artykuły pisali. Warszawa jedna miała *Kurjera*, który od czasu jak się zawiązał, jest nieustanną naszego miasta kroniką, pisze to co widzi i zbiera to wszystko od ludzi co tylko zapamiętać o niéj mogli. Warszawa jedna miała podaniowych, że tak się wyrazim, historyków, nie samych tylko badaczy (lubo i tych niebrakło, a dzisiaj szczególniéj niebraknie). Nawet tyle zasłużony dla Krakowa Ambroży Grabowski, lubo wyświetlił znakomicie przeszłość rodzinnego miasta, lubo nikt pod względem historji Krakowa w zasługach jemu sprostać nie może, nawet Ambroży Grabowski więcéj uczoną przybiera minę, więcéj wygląda na badacza i historyka. Uczonego kierunku prac zacnego Ambrożego dowodzą Starożytności polskie, w których np. moc listów Hozjusza, Wspominki ojczyste, korrespondencje Władysława IV i t. d. Książki wyłącznie Krakowowi poświęcone, jak Groby królów, jak Skarbniczka archeologów, jak Zabytki i t. d., są to zawsze po większéj części wypisy z akt i z książek, rzeczy bardzo ważne, zajmujące i ciekawe, ale kompilacje jakeśmy powiedzieli z książek i rękopismów. Nie ma tam nic prawie z żywego słowa. Amb. Grabowski kocha rodzinne miasto swoje, ale kocha je inaczéj jak kochali nasze, Dmuszewski i Magier. Tamtego miłość archeologiczna, uczona — tych sobie spokojna, skromna, zamknięta w sobie, szczera, głęboka, prawdziwa.

Chcieliśmy na ten fakt wskazać, że tacy ludzie jak Magier i Dmuszewski są tylko w Warszawie, boć Ambroży Grabowski który się najwięcéj odznaczył ze wszystkich innych monografistów miast polskich miłością do miejsca, inaczéj kocha jak oni. Ale możebyśmy nawet nie zwracali na ten fakt uwagi, gdyby sam fakt nie powtarzał się, co właśnie przywodzi nas do wniosku, że Warszawa ma jakąś tajemnicę, magnes, którym pociąga ku sobie.

Jest pomiędzy nami trzeci jeszcze starzec, podaniowy historyk Warszawy, który miasto nasze, a przynajmniéj dzieje ostatnie jego, dzieje na które patrzał, zna jak na dłoni; starzec zacny, który po długich latach pracy urzędowéj, dorobiwszy się dobrze wysłużonego chleba, żyje tylko wspomnieniami Warszawy. Uczeni i archeologowie warszawscy oddawna już rady jego zasięgali: nieraz kwestje dzisiaj gordyjskie, nierozwikłane, starzec ów słowy swemi jakby ostrzem alexandrowego bułata, stanowczo rozcinał. Uczeni warszawscy znają tego zacnego starca, tę żyjącą kronikę czasów dawnych, która czasy Magiera i Dmuszewskiego związuje z naszemi, albo może jeszcze zwiąże i z następnem pokoleniem. Podaniowa historja nie ustaje w Warszawie. Ale nie zna tego męża, który dzisiaj nam zastępuje Magiera, publiczność. Dla tego z hołdem jaki mu się należy, wymieniamy tu jego nazwisko. Nazwisko same nie jest nieznane, czas od czasu powtarza się ono po naszych pismach i książkach. Grzegorz Jahołkowski, były sekretarz jeneralny urzędu municypalnego, a potem magistratu miasta Warszawy, zupełnie jak Magier, dużo pamięta, dużo więc i dużo objaśnień da o mieście naszem. Słyszeliśmy że jak Magier przypomnienia swoje spisuje. Będą tam także liczne kawałki i ustępy jak u Magiera, ale za to żadne miasto taką archeologją przed naszem się nie pochwali. Wójcicki i Sobieszczański dużo już skorzystali z objaśnień p. Jahołkowskiego. Żywe słowo przeniknęło w życie, ale trzeba by i pamiątkę, ślady swojego tu życia pozostawiło, co że się stanie, mamy niepłonną nadzieję.

Artykuły i objaśnienia jakie pan Jahołkowski daje tymczasem do pism perjodycznych, mogą być uważane sprawiedliwie za ustępy nowéj, pomagierowskiéj *Estetyki*. W Życiorysach Wójcickiego są tego pióra żywoty księdza Hjacynta Śliwickiego, wizytatora misjonarzy, Nikuty Królewianina profesora korpusu kadetów za Stanisława Augusta, i księcia Edwarda Lubomirskiego, założyciela instytutu oftalmicznego w Warszawie. Śliwicki dawno umarł, więc niewiele o nim, ale o Lubomirskim i o Nikucie, których osobiście znał p. Jahołkowski, są fakta żywcem podaniowe, to jest z życia wzięte, niezanotowane nigdzie, zwłaszcza o Nikucie, którego życiorys naturalnie historję kadetów obchodzi. W »Cmentarzu Powązkowskim« spotykamy także nieraz ślady opowiadań Jahołkowskiego: w samym już tylko ostatnim zeszycie Cmentarza spotykamy wiadomość o roku zjawienia się w Warszawie sławnego teorbanisty Jana Zakrzewskiego (str. 171). Jahołkowski acz z trudnością ułożył spis dokładny prac rzeźbiarskich niedawno u nas zmarłego Pawła Malińskiego, b. professora uniwersytetu w War. (tamże str. 204). Malińskiego życie obchodzi dzieje sztuki polskiéj, a Zakrzewski jest to postać wielce interesująca. Znało niemal całe miasto nasze w swoim czasie tego teorbanistę kresowatego; rozpowiada też o nim Magier, a nawet przytacza o nim szczegóły, których p. Wójcicki nie zasięgnął do swego artykułu. Może to jakaś figura polityczna; jeżeli zaś Zakrzewski nie jest polityczną postacią, zawsze to lirnik, poeta wędrujący narodowy, jakich było pełno u nas w owych jeszcze czasach zamierania dawnych kształtów. Zdaje nam się że i owe ludowe figury, które w ostatnim numerze Cmentarza występują, jak np. owego jeneralnego gasiciela pożarów w Warszawie Lasockiego i inne, naszkicowane są z żywego słowa, z ust może p. Jahołkowskiego. A że autor Cmentarza w jednem miejscu wyraźnie cytuje noty Grzegorza Jahołkowskiego, zdaje się, mamy prawo słuszny wniosek robić, że nową *Estetykę* mieć będziem zczasem.

Dnia 21 Listopada 1855 roku.

Juljan Bartoszewicz.

LISTY BEZ PRETENSJI

Przesyła z podróży na wieś Bolesław Kopeć.

IV,

(Ciąg dalszy).

(Patrz Nr. 311).

— *Tu me fais troujurs rougir.*— rzekła Porośnicka do męża — masz oficjalistów do gospodarstwa, a jednak *mon cher'ciu* pewno się niem zajmujesz, bo *je vois*, że zapominasz historji o śladach Porośnickich.

— Owszem, owszem umiem ją na palcach i każdemu ją mogę opowiedzieć najdokładniéj— mówił Porośnicki unosząc się na krześle do żony.

—Jednak *très-souvent* się zapominasz; powiedziała Porośnicka, rozpuściwszy wachlarz i rzuciwszy kilka wysokich spojrzeń jakby w przeszłość tak daléj mówiła:

— Familia moja jak i mego męża, chociaż nie jaśnieje na kartach polskiéj historji; chociaż mało wiedzą o Porośnickich, o Zarebkach, o Hodkiewiczach...

— O tych ostatnich przynajmniej historja nie milczy, przerwałem Porośnickiéj.

— Piszą o nich nie tyle jednak ile powinni! Za granicą lepiéj nas ocenić potrafili, cudzoziemcy wyszukali nam rodowód szlachetny, jakiegó by tu nam nigdy nie odkryli.—Ledwieśmy stanęli na ziemi francuzkiéj, uprzejmi ludzie już wskazywali ślady Porośnickich, a w Paryżu w kościele Panny Marji, odkryto naumyślnie dla nas, nagrobek marmurowy, w którym kazał się pochować jeden z Porośnickich, o czém przekonywa podpis, już dziś prawie nie czytelny. Szukałam w Paryżu więcéj śladów i znalazłam z pomocą pewnego młodego uczonego w księgach kościélnych zapis, uczyniony przez jednego mego poprzednika dla rycerzy zubożałych powracających z Jerozolimy; przy pomocy tegoż uczonego młodzieńca, miałam sposobność widzieć w królewskiéj bibliotece książkę drukowaną po grecku, w któréj wyraźnie opisaną była sprawa Bazylego Porośnickiego z Ludwikiem XIV królem francuzkim. Co za szczytny postępek i śmiały, poprzednika Bazylego.

— Bawiliśmy najdłużéj na ziemi włoskiéj — mówiła daléj Porośnicka — bom ja pokochała całym zapałem to błękitne niebo, te oliwne gaje, ten naród śpiewny i muzykalny. Byliśmy i w Rzymie i tu za wielkiem staraniem, pokazali nam portret wykuty w marmurze, rycerza w sukni zakonnéj, z mieczem u boku i z podpisem na drzewie mojego pradziada. Ach! co za podobieństwo, też same rysy, te same oczy, zupełny mój pradziad, którego postać dobrze znam z opowiadania, a przez którego nasza familja ma znaczenie swoje w Watykanie!... Wody z pomarańczą — zawołała Porośnicka na lokaja, wyprostowanego przy drzwiach, a sama udając zmęczoną i wzruszoną opowiadaniem, potarła czoło i nos (będący niegdyś formą na nosy jéj córek) chusteczką bogato haftowaną i zaczęła się wachlować pawiemi ogonkami.

— Ofeljo! opowiedz historję mojego pradziada, podług sekretnego zeznania don Angela Pernotto-Delora-Vincensa; wyręcz mię, bo czuję się omdloną — powiedziała po chwili Porośnicka i panna Ofelja pocierając chusteczką przydługi nosek, odezwała się głosem matki:

— Za czasów szerzenia się reformacji, grożącéj całéj wierze katolickiéj, a szczególniéj władzy papieskiéj, postać naszego dziada jak brylant najczystszéj wody zajaśniała na polu tamtego czasu. Dziad nasz pod pozorem nabożeństwa włożył na siebie zakonną suknię, pod którą mając ukryty miecz, ścigał i tępił kacerzy! W roku 1520 kiedy w Szwajcarji Ulryk Zwingli zaczął rozszerzać nową naukę, mój dziad ścigał tam go siłą zbrojną; zebrał wojsko, niszczył i uderzał na reformowanych; dopiero gdy Ulryk Zwingli zaczął miewać kazania pobudzające do zmiany wiary, nasz dziad także wstąpił na kazalnicę i zaczął nauczać: temi kazaniami zwołał bardzo wielu na swoją stronę, z którymi gdy wpadł na kantony szwajcarskie, rozpędził je i własną ręką zabił Ulryka Zwingli! Ten wielki czyn zjednał mu wziętość, policzony do największych dygnitarzy kościoła, został prałatem, biskupem, zostałby pewno papieżem, ale umarł!

— Umarł.... powtórzyła żałośnie cała familja Porośnickich.

— Czy tak? umarł — powiedział i Kazio zamyślony o czem innem.

— Widzicie panowie! — zawołała po francusku Porośnicka, wznosząc rękę łukowato w górę. — Ślady najwidoczniejsze; powiedz jeszcze serce o nowych odkryciach w naszym kościele.

— W naszym kościele, w podziemiach — zaczęła mówić młodsza córka panna Kloryna — proboszcz wyszukał starą trumnę, w któréj były resztki bogatego odzienia, pierścień żelazny i pręciki żelazne, zupełnie jakby od korony.

— Widać był rycerzem — dodał Porośnicki i zabierając kolej daléj zaczął mówić — samo nazwisko naszych dóbr Babin, nie jest świeże, widać już nasze przodki wiedzieli o śladach, kiedy nazwali się na Babinie.... o bo to Babin to tak coś stare, poważne, magnackie... mówił Porośnicki i na dłoniach ważył powietrze.

— Niewdzięczna nasza ziemia! Tyle lat odmawiać nam zaszczytu należenia do najznakomitszéj rodziny, i gdyby nie poszukiwania moje z cudzoziemcami, żylibyśmy tak daléj, — powiedziała Porośnicka, zakończając familijne opowiadania.

— I ja bez twoich śladów wiecznie byłbym szlachcicem ziemi Kaliskiéj — powiedział i Porośnicki, brzęknął w tabakierkę, obejrzał siebie i wydął się w obręcz.

Osłupiałem! Spojrzałem na wszystkich: wiara na twarzach! Spojrzałem na Kazia: dusił się od śmiechu. Nie wiedziałem co myślić, sądziłem że to tylko komedja, bo nie wierzyłem doprawdy, żeby słabość, duma, czcze formy i pieniądze, do takiego błędu przyprowadzić mogły człowieka: chcieć oszukiwać siebie, ludzi i historję!?

Porośniccy osłupienie moje biorąc za rodzaj trwogi, jaką zostałem przejęty dla członków wielkiego rodu, chcąc mnie zupełnie upokorzyć, spojrzeli po sobie, wznieśli głowy do góry, wyciągnęli się na siedzeniach i jedną myśl swoją powiedzieli przez usta Porośnickiego:

— Gdybyś pan zobaczył wszystkie obrazy, sale, cały pałac, łazienki, psiarnię, powiedziałbyś że umiemy uszanować ślady Porośnickich.

— Warto zobaczyć, może pan zobaczysz?... odzywały się damy, a ja powstałem z krzesła, pozwalając z sobą robić co im się podoba.

— Idź Bolesławie, obejrz, warto widzenia; ja pozostanę z damami i będę czekał na twoje zdanie — odezwał się Kazio i zakrył usta pełne śmiechu.

Wstał i Porośnicki, rospuścił białą jedwabną chustkę, poprawił okularów i wykręciwszy tabakierką kilka razy młynka w dwóch palcach, powiedział że idziemy.

Machinalnie postępując za Porośnickim, przeszedłem kilka pokoi, wąski korytarz ustrojony kwiatami w kolorowych wazonach i minąwszy drzwi nad któremi złocił się napis: »Wielka bibljoteka,« znalazłem się w obszernéj sali, zastawionéj szafami bogato ozdobionemi w złoto i rzeźbę; jedna ściana zupełnie otwarta, zawieszoną była malowidłami na płótnie, w bogatych ramach. Malowidła nędzne, zdaleka uderzały jaskrawemi kolorami, bijącemi z postaci poetów, uczonych, filozofów różnych narodów; twarze ich to marsowate aż do wykrzywienia, to czułe aż do zaślinienia, ubiory dziwne, fantastyczne i istniejące chyba u narodów jeszcze nieodkrytych, musiały mnie wyprowadzić ze stanu pierwszego osłupienia.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

TEATR WIELKI. Jutro: *Paquita*.

TEATR ROZMAITOŚCI. Jutro: *Tymoteusz i Jafet. Pod strychem.*

Dziś rano stopni zimna 2, wczoraj w poł. zimna 3. Wysokość wody na Wiśle stóp 1 cali 9.

W drukarni J. Unger. —Wolno drukować. — Warszawa dnia 12 [24] Listopada 1855 roku. — Starszy Cenzor F. Sobieszczański.